

— Pomimo najdokładniejszego określenia nie będzie mogła przekonać, że znam go, ani też wmówić w pana, że jestem jego współnikiem. — odrzekł żywo Montin — Nie wiem, kto on jest, skąd tu przybywa, nie wiedziałem nawet dotąd wcale o jego istnieniu.

— Dobrze! — rzekł pan Ginory, powstając — Rozmowa nasza skończona. Wobec upartego milczenia pana, jestem zmuszony odesłać go znowu do więzienia. Pan może jeszcze zmienić przekonanie, a ja tymczasem zajmę się odszukaniem tego człowieka.

— Jest to bardzo rozsądne postanowienie. — odparł, uśmiechając się ironicznie, Jerzy Montin — Mam nadzieję, że poszukiwania pańskie wykażą dodatni rezultat.

Pan Ginory zmarszczył czoło i chciał już coś ostro odpowiedzieć, ale opanował się szybko i ruchem ręki skinął na dozorców, oczekujących przy drzwiach.

Poskoczyli natychmiast i obścąpili oskarżonego, wyprowadzając go szybko. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem i nagła cisza objęła pokój, w którym przed chwilą toczyła się tak gorączkowa rozmowa.

Pan Ginory oparł głowę na rękę i zdawał się nad czymś głęboko rozmyślać, Bernardet zaś nie ruszył się od okna, przy którym stał dotąd.

Po pewnej chwili sędzia podniósł głowę i spojrzał na pana Leriche.

— Jestem przekonany — rzekł — że ten Montin nie zechce nam nic wyjawić. Upór jego jest nie do zwalczania. Musimy go zostawić w spokoju na razie i szukać tego człowieka, który był posiadaczem portretu.

— Tak, to jest konieczne — potwierdził pan Leriche.

— Złaje się, że to będzie szukanie wiatru w polu — szepnął do siebie Bernardet.

— Powierzmy tobie, Bernardet, to poszukiwanie. — zwrócił się do niego sędzia.

— Niełatwa to będzie sprawa — odpowiedział — i potrwać może długo bardzo. Odszukać kogoś w Paryżu, nie wiedząc, jak się nazywa i jak wygląda.

— No, mój kochany! — odezwał się pan Leriche — Dawaleś sobie radę z trudniejszymi sprawami. Liczę i teraz na ciebie. Masz jedną dobrą poszlakę. Ten duży fi cowy kapelusz.

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, panie Leriche, że te kapelusze dosyć często widuje się na ulicach. Ale w każdym razie jakąś słabą niteczkę trzymam w ręku. Zobaczę, czy po niej będę mógł dojść do kłębka.

— Jakie wrażenie uczynił na panu ten Montin? — zapytał sędzia pana Leriche.

— To silna głowa. Nie da się tak łatwo pokonać. — odparł z przekonaniem pan Leriche — Wiadziałem już takich! Musimy się przygotować na ciężką z nim walkę.

— Zapewne. Ale, czy sądzi pan, że on jest winnym naprawdę?

— Oczywiście. Ale, jak powiadam, namęczymy się dosyć z nim, zanim go przywieziemy do przysądzenia się. Chyba, że jakieś nieprzewidziane okoliczności przyjdą nam z pomocą.

Pan Ginory nie zdawał się zwracać uwagi na ostatnie słowa pana Leriche. Utkwił w nim tylko wzrok głęboki i badawczy i zapytał:

— Czy wydałby pan na niego bez namysłu wyrok oskarżający?

Pan Leriche zawahał się chwilę.

— Czy wydałby pan na niego wyrok w tej chwili — nalegał pan Ginory, nie spuszczaając oczów z niego — Teraz, po tej ostatniej rozmowie?

Pan Leriche przetarł ręką czoło, spojrzał pytająco na milczącego Bernardeta, z którego surowej twarzy nic wyczytać nie mógł i po długiej chwili odpowiedział niepewnym głosem:

— Nie wiem! Doprawdy, że nie wiem!

IX.

— „Nie wiem!“ — myślał Bernardet, powracając do siebie — „nie wiem!“ Jak mógł pan Leriche tak powiedzieć! Ale ja wiem o jednej, jedynej rzeczy, której mi nikt zaprzeczyć nie może! Nikt nie ośmielił się mi zaprzeczyć, że odnalazłem w żreńnicy zmarłego obraz Jerzego Montina, jego rysy, jego twarz, jednym słowem jego samego! A ten świadek, według mojego przekonania, jest więcej wart od wszystkich świadków na świecie. Zamordowany pan R vere wiedział i on sam po śmierci w ten sposób oskarża swojego mordercę! Pan Leriche powiedział: „Ja nie wiem“. Teraz, oprócz zamordowanego, świadomość tę przejął mój aparat fotograficzny! To jest rzecz martwa, bez uprzedzeń

i złości ludzkiej. Osądził sprawiedliwie i oskarżył, bo pochwycił prawdę i rozgłosił ją! Nikt mi tego nie wytłumaczy. Oni się mylić mogą, bo są ludźmi, ale mój aparat nie omylił się.

Bernardet coraz silniej upierał się przy swoim przypuszczeniu. Potwierdzało je jeszcze niepojęte milczenie Jerzego Montina. Jakaż przyczyna, nawet najważniejsza, mogła powstrzymać go od zeznania prawdy? Aby wyjść z tego więzienia, w którym nikt nie przeżywa z radością i dobrowolnie, mógł powiedzieć kilka słów i zostać uwolnionym! Dlaczegoż ich nie wypowiedział? Kryć w sobie musiały wyrok potępienia na niego. Dla tej przyczyny Jerzy Montin milczał uporczywie. Nie chciał dać żadnych wyjaśnień, bo one nie mogły mu przywrócić utraconej wolności. Człowiek niewinny i pewny siebie nie potrzebuje zachowywać milczenia. Wtedy, podczas ostatecznej rozmowy z panem Ginory, mógł zaoponować aresztowaniu, zeznając to, co wie. Nie uczynił tego, tłumacząc się wyższymi względami i złożoną przysięgą. W policji wiedzą, co takie przysięgi znaczą. Przyczyną ich jest tylko wina. Teraz Bernardet był nie tylko pewnym, że Jerzy Montin jest mordercą pana R vere, ale wierzył, że miał współnika, który mu dopomógł do spełnienia zbrodni. Tym współnikiem był człowiek o dużym kapeluszu fi cowym, sprzedawca portretu. Ale gdzież ten mógł teraz się ukrywać?

— Nie łatwa sprawa! Nie łatwa — myślał ciągle Bernardet, zastanawiając się nad dalszym sposobem działania. Również i tajemnicza dama w czerni mogła dać niejedne cenne wyjaśnienie. Z tej strony sprawa przedstawiała mu się dosyć jasno. Albo kobieta ta była współniczką tamtych i zachowała milczenie, ukrywając się starannie gdzieś na oddalonej prowincyi, albo też, dotknięta silnie w swoich uczuciach dla zmarłego, zjawi się sama i da się poznać władzom, przynosząc ze sobą wyjaśnienie, mogące w jednej chwili wyjaśnić całą sprawę.

— Zostawmy więc ją w spokoju — myślał Bernardet. — Dwoje ukrywających się ludzi trudno będzie odkryć odrazu.

Ale dzień za dnem upływał, nie przynosząc ze sobą nic szczególnego. Tajemnica bulwaru „Clichy“ podniecała dalej ciekawość publiczną i była szeroko omawiana w brukowych dziennikach. Zorodnia, pełniona w tak zuchwały sposób w jasny dzień, pośród największego ruchu ulicznego, niepokoiła umysły mieszkańców dzielnicy i zagrażała ich dalszemu bezpieczeństwu. Pomimo więc rozlicznych wypadków, rozgrywających się w mieście, zamordowanie byłego konsula było aktualną rzeczą, o której szep-tano wszędzie.

Jerzy Montin zaś stawał się jakąś postacią dramatyczną i osobliwą, około której pomysłowi reporterzy utworzyli nieprawdopodobne i sensacyjne legendy. Jedni utrzymywali, że był winnym śmierci przyjaciela — opierając ten sąd na zebranych o nim wiadomościach z przeszłości, drudzy zaś z oburzeniem występowali przeciw aresztowaniu jego, nie mającemu jeszcze żadnych podstaw, potępiając lekko-myślność władz, dających się łudzić pozorami i głosili szeroko jego niewinność. Reporter „Iskry“, pan Rodier, przygotował nawet dwa artykuły różnobraźniące, w których równocześnie oskarżał i bronił oskarżonego.

— To najlepszy sposób na wypowiedzenie prawdy — mówił do swoich przyjaciół — bo w każdym razie jeden z moich artykułów okaże się racjonalnym.

Bernardet zaś nie tracił nadziei odnalezienia człowieka o wielkim kapeluszu. Nie pierwszy to raz, jak wyrażał się, kazano mu „szukać szpilki w furze siana“. Zapewne, Paryż jest dużym miastem i bardzo zaludnionem, ale agent czuł się w nim, jak u siebie w domu i znane mu były wszystkie nory i krowjówki, które były miejscem schronienia rzeźmistrzów najgorszego gatunku.

Pocieszał się więc, myśląc, że przecież kiedyś spotka poszukiwanego człowieka.

Musił on być cudzoziemcem, niedawno przybyłym do Francji, skoro zachował jeszcze ten rzucający się w oczy wielki hiszpański kapelusz, o sze-rokich skrzydłach.

Bernardet przeszukał przedewszystkiem wszystkie trzeciorzędne hotele, zajazdy, pokoje umeblowane, zaglądając wszędzie do spisów lokatorów i wypytyując dozorców. Pokazywano mu wielu cudzoziemców, przybyłych z dalekich stron, ale ci wszyscy umieli się wytłumaczyć z obecności swojej w mieście i mieli papiery w porządku. Byli to po największej części biedni nędzarze, wgnani z kraju rodzinnego nędzą i niedostatkiem, których nadzieja szczęścia zaprowadziła aż tutaj.

Bernardet jednak nie zniechęcał się. Codziennie wychodził wczesnym rankiem i szukał i węszył,

jak pies gończy za zwierzyną. Zresztą lubiał wieczorem wchodzić do tych osławionych nocnych lokali, gdzie koncentrowało się towarzystwo, złożone z ludzi podejrzanego wyglądu i fachu i włóczyć się po ciemnych i krętych zaułkach miasta.

Miał tam doskonałe pole do obserwacji.

Lokale te po największej części ciekawe były i oryginalne w swoim rodzaju. Co tylko zdeprawowana cywilizacja i przemysłowy spryt ludzki mógł wynaleźć, znajdowało się tutaj, przedstawione w drażniących zmysły barwach i formie. W niektórych takich nocnych spelunkach nie pozbawieni niezdrowej fantazyi przedsiębiorcy urządzali widowiska, mające na celu przywabianie naiwnych lub też istot, które tu znaleźć mogły chwilową podniektę i zaspokojenie wyrażanej potrzeby wrażeń brutalnych i niskich.

Były to widowiska, które w poszukiwaniu ciągłej nowości dochodziły do ekscentryczności nieprawdopodobnej i jakiejś śmiertelnej ironii i przesyty.

Wykonywano tu tańce śmierci przy dźwiękach skocznej muzyki, ukazywano duchy zmarłych, przybranych w fantastyczne i jaskrawe kostiumy pierrotów, urządzano wesołe zabawy przy pomocy trupich czaszek, któremi żonglowano, jak piłkami.

Jedna z tych kawiarni nosiła przywabiające miano: „Kawiarnia Szkieletów“. — Nejednokrotnie Bernardet, przechodząc koło barwnych fi rów, zapowiadających na wieczór nową, niewidzianą jeszcze sensację, uśmiechał się pobłaźliwie, przyglądając się szumnym napisom, podanym w żałobnej formie i wielkiej czerwonej latarni, zawieszanej przed głównymi drzwiami lokalu.

Kiedy opowiadał o tem w domu, córki jego błądły ze wzruszenia i przestachu, a poczciwa pani Bernardet żegnała się nabożnie, wołając z oburzeniem:

— Że też policja pozwala na takie świętokradzwa! To nie do uwierzenia! Bernardet! Chyba oni o tem nie wiedzą!

Bernardet, człowiek spokojnego i pobłaźliwego charakteru, odpowiadał poważnie:

— Cóż w tem takiego złego widzisz, moja kochana? Dlaczego policja nie ma pozwolić na podobne zabawy?

— Ładne zabawy! — mruczała gniewnie pani Bernardet. — Ci ludzie bez serca i sumienia nasławiają się nawet ze śmierci! Zobaczysz, jak świat tak dalej będzie się demoralizował, na czem się to skończy.

— A no, zobaczymy! — śmiał się Bernardet, nie dzielając z nią swojej małżonki.

Jednego wieczoru Bernardet wszedł do „Kawiarni Szkieletów“. Chciał się trochę rozerwać, bo dzień miał nudny i umysł przeciążony codzienną pracą.

Powrócił tam znowu w jakiś czas potem, sam przyciągnięty oryginalnością widowiska.

Sala była niewielka, ale przedstawiała ciekawy w dok. Na ścianach, jaskrawo pomalowanych, rozwijały się różnorodne sceny: Kondukt żałobny przesuwający się obok roztańczonych par w karnawałowych strojach, dalej obok poetycznej panoramy Wenecji i lagun, na których sunęły gondole, przybrane w kwiaty i wstęgi, wznosiły się czarne ramiona olbrzymiej szubienicy.

Na tle tej dekoracji stoły, w formie małych trumien, dziwne czyniły wrażenie. Kelnerzy ubrani w żałobne stroje, w czarnych rękawiczkach i czerwonych krawatach, obsługiwali gości.

Bernardet siadł przy jednej z trumien. W tej chwili podskoczył do niego czarny pajac i zapytał grobowym głosem:

— Jaką truciznę pragnie pan wypić?

Bernardet uśmiechnął się i kazał sobie podać butelkę wina. Umięścił się, jak mógł wygodnie, przy swoim oryginalnym stoliku i zaczął się ciekawie rozglądać po sali i obecnych. Towarzystwo było różnorodne. Kilku eleganckich panów we frakach i białych krawatach, widocznie powracających z opery lub koncertu, z paniami o wytwornych toaletach, śmiejącami się głośno i rzucającami wokoło ciekawe i wyzywające spojrzenia, kilku beczynnymie włóczących się zawsze po bulwarach młodych ludzi, apasów ze swojemi przyjaciółkami, studentów, artystów i gryzetek.

Bernardet rozumiał dobrze, czego ci ludzie szukali tutaj. Szukali zabawy i zapomnienia! Trumny, na których stawiali szklanki z winem, bawiły ich, obługa pobudzała ich do żartów i śmiechów, a nadzieja ekscentrycznego widowiska ożywiała ich znużone twarze.

(Ciąg dalszy nastąpi)